



**38. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich
– ŁÓPTA 2025 –**

DZIEŃ 2: 25.10.2025 r.



Jakub Pisarski

Absolwent studiów historycznych, naukowo zajmujący się losami polskich Romów po II wojnie światowej. Wieloletni amator teatru, zwłaszcza musicali, oraz równie amatorski recenzent dzieł kultury. W teatrze najbardziej ceni unikatowe doświadczenie każdego spektaklu i wynikające z tego emocje. Pasjonat literatury pięknej, od starożytności po twórczość współczesną, oraz „gier bez prądu”.



Karolina Załęska

Studiuje zarządzanie i komunikację w sztukach scenicznych oraz filologię angielską. W wolnych chwilach oddaje się pisaniu wierszy, zaczytuje w książkach, zwiedza galerie sztuki lub eksperymentuje w kuchni. Nie są jej obce wyjścia do kina i teatru. Wspominając o tym ostatnim – szczególnie interesuje ją teatr absurdu, który poprzez swoją nieprzewidywalność i zabawę formą zawsze trzyma ją w pełnym skupieniu. Zdarza jej się również grać na scenie, więc wie, jak spektakl wygląda z perspektywy aktora.



Paulina Kabzińska

Absolwentka historii, świeżo upieczona nauczycielka, miłośniczka literatury klasycznej i podróży, ale przede wszystkim gorąca wielbicielka teatru, a także recenzentka Dziennika Teatralnego. Szczególne miejsce w jej sercu znajdują musicale, chociaż lubi także wszelkiego rodzaju eksperymenty formą. W teatrze najbardziej ceni sobie jego specyficzną atmosferę, ulotność i niepowtarzalną relację między aktorami, a widzami.

Spis treści

4

Teatr Trzech Kropek

„Klekął” | Bydgoszcz

5

TEATRUM EST

„Pchła Szachrajka” | Wrocław

6

Teatr Dyletanci

„Bar u Drenka” | Warszawa

7

TEATR PO PRACY

„Dom na granicy” | Bielsko-Biała/Hałcnów

8

Teatr BaWiMo

„Uciekinierki” | Białystok

9

Teatr Teatr Scena Przyfabryczna

„Adam i Ewa w podróży” | Warszawa

10

Grupa Estradowa SCK

“Potyczki damsko-męskie” | Sieradz

11

Teatr Etna

“Najlepiej widzę, kiedy zamknę oczy” | Piaseczno

12

Teatr Wielu Twarzy

“Ostatnie kuszenie” | Wrocław

13

Kabaret “Zakon Szyderców”

“Krucjata” | Łódź

Wewnętrzne dzieci

„Ale śliczny ten spektakl” – „ładniutki” – „moje wewnętrzne dziecko się cieszy” – takie opinie usłyszałem z widowni już w pierwszych sekundach po zakończeniu widowiska. Vox populi tym razem faktycznie okazał się być vox dei, bo sam bym tego lepiej nie ujął. „Klekot” jest widowiskiem, które widz w każdym wieku może pochłonąć jak zbiór kunsztownych obrazów. Tematem zdaje się być szeroko pojmowana cykliczność: dzień-noc, światło-ciemność, jajko-ptak, zabawa-odpoczynek, etc. Wyrażono ją w bardzo immersyjnej formie z pogranicza pantomimy, bez użycia słów, które zastąpiono przebogatą warstwą audiowizualną.

Głównymi bohaterkami są Dziewczęta [Alicja Lijewska, Julia Rauhut i Katarzyna Witkowska] wchodzące w interakcje z barwnymi obiektami czy żyjątkami w przyrodzie, a także ze sobą nawzajem. Ich perypetie są urocze dla każdego odbiorcy, zaś przerysowane aktorstwo spełnia doskonale swoją rolę. Na czas wystąpienia panie stały się Dziewczętami od stóp (których krok i poczucie rytmu zrobił naprawdę dobre wrażenie) do głów (strojących miny rodem z wodewila). Swoje role odegrały na tyle przekonująco, że aż wzdygnąłem się, kiedy już po fakcie aktorka powiedziała parę słów do widowni w zrozumiałej, ludzkiej mowie.

Angażowanie wielu zmysłów, interakcje z widownią przy użyciu rekwizytów, umiarkowane tempo akcji i pogodny charakter zapewniają przedstawieniu cenne walory rozwojowe dla dzieci. Spektakl zapewnia odpowiednio dużo bodźców, żeby podtrzymać zainteresowanie młodego człowieka, ale nie popada w przeładowanie czy przerost formy. Jest świetnie wyważony, czym przywodzi na myśl klasyczne bajki czy nawet kreskówki naszego dzieciństwa.

Przygotowanie rekwizytów i kostiumów musiało pochłonąć sporo wysiłku, znacznie więcej niż typowe dla współczesnego teatru „ubierzmy się na czarno w ciemnym pokoju”. Co ciekawe, efekt końcowy zachwyca przede wszystkim pomysłowością: wspomnienie folii falującej w purpurowym świetle jak kosmiczna meduza, pozostanie ze mną na długie lata. Analogicznie muzyka, wpadająca w nietypowe dla gatunku tony szamańskiego transu, idealnie wpasowała się w mój gust i zarazem w nastrój całości.

Krótki czas trwania to jedyny poważny mankament, jaki ciśnie mi się na usta. Akcja wydawała się nazbyt ściśnięta (być może za sprawą wymogów organizacyjnych, których nie jestem świadom) co w towarzystwie relaksująco wolnego tempa sprawiło wrażenie, jakbyśmy skończyli spektakl w jego 3/4. Jestem zmuszony skrytykować również to, że nie dotarło do mnie żadne ze zwierzątek wchodzących w głąb widowni!

Przechodząc do porządku dziennego nad tą jawną dyskryminacją, dzieło Teatru Trzech Kropek oceniam bardzo wysoko. Gdybym miał dzieci, chętnie zabrałbym je ze sobą. Póki co, wewnętrzne dziecko sprowadziło na widownię tylko mnie samego i wcale tej decyzji nie pożałowało, bo bawiliśmy się świetnie.

Jakub Pisarski

Brzechwa wiecznie młody

Kto powiedział, że dobrze znana poezja nie może nadal bawić? To naprawdę przyjemne uczucie słyszeć na scenie wersy, które większość z nas pamięta jeszcze z dzieciństwa. Teatr EST z Wrocławia udowodnił, że twórczość Jana Brzechwy wciąż potrafi rozśmieszyć, zaskoczyć i oczarować, jeśli tylko trafi w ręce ludzi, którzy mają w sobie pasję i radość grania. Spektakl „Pchła Szachrajka” za którego reżyserię, scenografię oraz muzykę odpowiadał Zbigniew Szymczyk, zabrał publiczność w świat dobrze znanych historii. Na scenie słyszymy nie tylko o niesfornej pchle, ale także o robaczku z „Entliczka-pentliczka” czy przeróżnych warzyw z „Na straganie”. Już sam początek zapowiadał, że będzie to przedstawienie z humorem, pomysłem i dystansem. Zespół aktorski, złożony z dojrzałych aktorów, udowodnił, że wiek nie jest żadną przeszkodą w tworzeniu sztuki. Wręcz przeciwnie, życiowe doświadczenie dodały przedstawieniu wyjątkowego ciepła i autentyczności.

Historia tytułowej bohaterki została opowiedziana z lekkością. Pchła dopuszcza się przeróżnych wybryków i oszustw, od przekrętu z rurkami z kremem, przez kradzież tkanin, aż po wysiadkę pociągu. Szalenie zabawną sceną, była ta, gdy pchła przed swoimi gośćmi wykonywała arię operową. Scena pełna komizmu, którą oglądało się jak profesjonalny playback zarówno ze strony Pchły, jak i aktorki, która ją grała. Zespół doskonale poradził sobie z oddaniem ducha Brzechwy, jego rytmu, humoru i ironii. Aktorzy nie tylko recytowali wiersz, ale też nadawali mu ruch, energię i emocje. Dwie aktorki wcielające się w Pchłę stworzyły duet pełen temperamentu: jedna była bardziej kokieteryjna i figlarna, druga dosadna, energiczna i niezwykle komiczna. Ich wspólna gra była nie tylko zabawna, ale też doskonale zbalansowana. Na pochwałę zasługuje scenografia i rekwizyty proste, ale pomysłowe. Czarne kostiumy z czerwonymi dodatkami pozwalały skupić się na mimice i ruchach aktorów, jednocześnie nadając całości elegancki i teatralny charakter. Wszystko było przemyślane od niuansów po rytm scen. Mimo lekkiej, rozrywkowej formy, Brzechwowski morał został zachowany: kłamstwo i oszustwo, choć kusząco błyskotliwe, w końcu zostają obnażone. Teatr EST pokazał, że morał można przekazać z przymrużeniem oka, a jednocześnie z klasą i głębią.

Warto też podkreślić, że Teatr EST to grupa dojrzałych aktorów, którzy na scenie z pasją przełamują stereotyp biernej starości. Ich energia, zaangażowanie i odwaga w zabawie formą mogą być wzorem dla innych zespołów pokazując, że twórczość nie zna wieku, a teatr może być przestrzenią spotkania, radości i współbycia. „Pchła Szachrajka” w wykonaniu Teatru EST to nie tylko powrót do klasyki, ale też dowód, że w każdym wieku można być artystą z fantazją i poczuciem humoru. To przedstawienie lekkie, błyskotliwe i pełne serca - dokładnie takie, jakie powinno być spotkanie z Janem Brzechwą. Spektakl to czysta przyjemność i dowód, że klasyka nie starzeje się, jeśli podać ją z humorem i odrobiną szachrajstwa.

Sara Gulak

Piekielna maszyna losująca

Trzeba przyznać, że nazwa „Dyletanci” brzmi przewrotnie, jeśli w czymś ci aktorzy są dyletantami, to chyba tylko w ukrywaniu swojego profesjonalizmu. Zespół aż kipi energią i świadomością sceniczną, a całym przedsięwzięciem kieruje Łukasz Krawczyński, autor i reżyser spektaklu, który współtworzył także muzykę. Ruch sceniczny przygotował Szymon Kleszcz, natomiast oprawę muzyczną współtworzyli Katarzyna Kwiatkowska i Jan Rawa. Wizja Krawczyńskiego łączy teatr, muzykę i formę sceniczną w sposób niezwykle spójny. „Bar u Drenka” to przykład teatru formy, w którym zgrabnie splatają się elementy spektaklu dramatycznego, musicalu i kabaretu, tworząc coś, co trudno jednoznacznie sklasyfikować, a jeszcze trudniej zapomnieć.

Czym jest tytułowy bar? Miejscem wymaginanym, piekłem, snem? A może wszystkim naraz? To przestrzeń, w której grupa zagubionych dusz zostaje uwięziona i zmuszona do odgrywania swoich dramatów, które w losowy sposób przydziela im maszyna, a raczej dziewczyna, która wpływa na to, co zostaje im przydzielone. Właściciel baru, Drenek, również nie jest wolny od tej gry. Raz wydaje się katem, raz ofiarą, a jego

relacja z partnerką jest niejasna i osobliwa, balansując między małżeńskim zgrzytem a toksycznym przywiązaniem. Na scenie rozgrywa się seria krótkich, intensywnych historii o uzależnieniu, zdradzie, przemocy, samotności i próbach ucieczki od samego siebie. Choć momentami aktorzy wymuszali uśmiech, ogólny ton spektaklu był raczej ciężki, gęsty, chwilami wręcz duszny. To nie była lekka rozrywka, lecz teatr, który szuka prawdy o człowieku bez pudru i bez filtra.

Zachwyca warsztat aktorski. Każdy z aktorów potrafił w jednej chwili zmienić głos, postawę i sposób poruszania się. Z roli dziecka w przedszkolu przejść do postaci zranionej żony czy z człowieka pogubionego w człowieka agresywnego. Zmiany te były płynne, konsekwentne i pełne emocjonalnej autentyczności. Świetnie działała muzyka, współtworzona przez Krawczyńskiego, Kwiatkowską i Rawę, a także rekwizyty, w tym charakterystyczne białe panelowe siedzenia, które zmieniały swoje znaczenie i zastosowanie w różnych historiach. Równie istotne było światło, które wyznaczało rytm scen i podkreślało napięcie między światem gry a chwilą zatrzymania. Na uwagę zasługuje również język spektaklu, momentami ostry, dosadny, a nawet wulgarny. Jednak wulgaryzmy użyte były z pełną świadomością, naturalnie i w odpowiednich momentach. Nie służyły taniej prowokacji, lecz prawdziwej emocji, dzięki czemu wcale nie było „to jakies strasznie wulgarne”.

„Bar u Drenka” to teatr o bólu, który nie chce minąć, o człowieku, który wciąż odtwarza swój dramat, jakby nie potrafił wypuścić z rąk własnej przeszłości. Każda historia to echo tej samej emocji, niepokoju, rozpacz i potrzeby zrozumienia. A kiedy w końcu zapada cisza i zaczynają się brawa, widz ma wrażenie, że dopiero co ocknął się z długiego, ciężkiego snu. To spektakl, który nie daje gotowych odpowiedzi, ale zostawia w głowie szum myśli.

Sara Gulak

Liczba zjedzonych kluseczek

„Dom na granicy” w reżyserii Judyty Dobek to kolejna interpretacja Mrożka, w której absurd staje się narzędziem diagnozy współczesności. Teatr po Pracy udowadnia, że teksty klasyków można odczytywać na nowo - z energią, humorem i świadomością społecznych kontekstów.

Centralnym punktem inscenizacji jest znak granicy wykonany z przerobionej drabiny. Jest to prosty, lecz niezwykle wymowny rekwizyt. Aktorzy wielokrotnie do niego wracają, ogrywając go z pomysłem. Drabina ta staje się symbolem władzy czy też złudnej wolności. Czerwona taśma przeciągnięta przez stół wyznacza z kolei granicę dosłowną, ponieważ oddziela przestrzenie i ludzi. Ten wizualny podział tworzy ramę dla całego spektaklu. Pozostała scenografia utrzymana jest w duchu starego wnętrza, z meblami pamiętającymi minioną epokę. To przestrzeń zatrzymana w czasie. Swoją rolę pełni tu również muzyka. Delikatne jazzowe wstawki dodają przedstawieniu lekkości i dystansu.

Na uwagę zasługuje wizerunek jednej z postaci - dyplomatki w czarnej skórzanej spódnicy, długich kozakach i rękawiczkach, z palcatem w dłoni. To figura władzy i dominacji, której obecność wyraźnie porządkuje emocjonalną przestrzeń sceny. Jej chłodna pewność siebie stanowi mocny kontrast wobec zagubienia pozostałych bohaterów, co doskonale wpisuje się w mrożkowski świat opresji i iluzji bezpieczeństwa.

Wspólne sceny, takie jak zsynchronizowane przemieszczanie się rodziny tiptopkami czy wypowiedanie kwestii razem, są dobrze zorganizowane i pokazują, że zespół pracował nad precyzją ruchu i współbrzmieniem. Dzięki temu całość sprawia wrażenie przemyślanej i konsekwentnej inscenizacji. Momentami zabrakło nieco naturalnego napięcia między aktorami, które mogłoby pogłębić emocjonalny wymiar relacji, jednak nie odbiera to spójności całemu przedstawieniu.

Aktorzy wydobywają z Mrożka to, co w nim najważniejsze - pytanie o granice człowieczeństwa, które w rzeczywistości biegną głęboko wewnątrz nas.

Karolina Załęska

Więzienie to częśćka mojej wolności

Dwie kobiety, dwa światy i jedna droga, która choć zaczyna się przypadkiem prowadzi ku prawdziwej przemianie. Spektakl „Uciekinierki” w wykonaniu Teatru BaWiMo to pełna humoru opowieść o kobiecej przyjaźni i o tym, że na zmianę nigdy nie jest za późno. Scenografia jest skromna, lecz funkcjonalna. Kilka prostych rekwizytów wystarczy, by przenieść widza do lasu, na farmę czy do więziennej celi.

Pensjonariuszka domu starców Claude ucieka przed samotnością i zapomnieniem. Margo - żona, matka ucieka od codziennego zniewolenia. Pierwsze minuty przynoszą konflikt, wzajemne pretensje i zgryźliwe uwagi. Bohaterki wyruszają w podróż, która dosłownie i metaforycznie staje się próbą odzyskania siebie. Sceny układają się w rytmiczną, pełną energii opowieść, w której śmiech i wzruszenie idą w parze.

Obie panie świadomie operują głosem i ciałem. Każdemu spojrzeniu, gestowi czy pauzie nadają znaczenie. Claude jest zadziorna, pełna temperamentu i ironii. To starsza pani, która nie godzi się na powolne, nudne wygaszenie życia. Margo z kolei to kobieta, która dopiero uczy się, że ma prawo do własnych pragnień i wolności.

Z czasem kłótnie i docinki ustępują miejsca solidarności. Bohaterki, które na początku nie potrafiły ze sobą wytrzymać, zaczynają się wspierać i bronić nawzajem. Gesty, które mówią więcej niż słowa. W jednej ze scen Claude żartobliwie opowiada o tym, jak Margo „przepłoszyła wilki harcerskimi piosenkami”, podczas gdy ta druga ledwie potrafiła rozpalić ognisko. To drobiazg, ale doskonale oddaje ton całego spektaklu: śmiech podszyty czułością, ironia prowadząca do zrozumienia.

Publiczność aktywnie reagowała śmiechem, a na koniec gromkie brawa potwierdziły, że przedstawienie trafia w gust widzów.

To teatr o kobietach, które mówią dość światu, który przestał je zauważać. BaWiMo stworzyło przedstawienie ciepłe, autentyczne i potrzebne. Takie, po którym wychodzi się z sali z uśmiechem i z myślą, że może każdy z nas ma w sobie coś z uciekiniera.

Karolina Załęska

Uwolnić Protoplastę z Puszki!

„Adam i Ewa w podróży” Joanny Godlewskiej to komedia obyczajowa, która stawia biblijnych bohaterów w zupełnie nowych okolicznościach - współczesnym świecie, pełnym codziennych trudności. Adam i Ewa, przesiedleni na warszawski Ursus, muszą stawić czoła nie tylko głośnym, nieumiejętnie grającym i śpiewającym sąsiadom, ale także własnym problemom małżeńskim, które w nowej rzeczywistości stają się jeszcze bardziej wyraziste.

Aniołowie, którzy pojawiają się w jaskrawo-niebieskich perukach, prowadzą skrupulatną dokumentację życia bohaterów, obserwując ich małżeńskie niepowodzenia. Adam i Ewa, zamiast odnaleźć spokój, popadają w co raz to kolejne kłótnie. Adam otwarcie wyraża poczucie uwięzienia w „puszce” codzienności, a Ewa marzy o przeprowadzce do Paryża. Adam ulega urokowi sprzątającej Marysi, a Ewa zaczyna zbliżać się do jednego z aniołów. Konsekwencją tego chaosu jest powstanie nowych par.

Uwagę należy zwrócić na sposób realizacji. Pomysł sam w sobie jest interesujący, a tytuł budzi oczekiwania i obiecuje zabawę. Aktorstwo wyróżnia się wyrazistością i naturalnością. Ewa ukazuje zdecydowanie i wewnętrzną siłę swojej postaci, podczas gdy Adam, niegdyś przedstawiany jako ideał, pokazuje upływ czasu i jego konsekwencje z subtelnym poczuciem humoru. Scena, w której bohaterowie jedzą ciasto przygotowane przez Marysię, wnosi do spektaklu element codzienności.

Zaskakujące zakończenie (zaplanowane przez Przekąźnika) w XII-wiecznym Paryżu, dokąd Ewa i anioł trafiają po licznych perypetiach, wprowadza jeszcze jeden element przewrotności: idea „raju” okazuje się złudna, a historyczne realia mogą się okazać mniej atrakcyjne niż Ursus, co skłania do przemyśleń nad wyobrażeniami o szczęściu i podróżach marzeń.

Karolina Załęska

Drugie dno

Każdego roku ŁÓPTA rośnie w siłę. Pojawiają się nowe teatry z nowych miast, wreszcie przychodzą do nas z nowymi formułami realizowanymi pod jakże przepastnym płaszczem muzy teatru. Do dzisiaj nie miałem przyjemności uczestniczyć w amatorskim występie estradowym, stąd „Potyczki damsko-męskie” przyjąłem jako powiew świeżości. Założenia owego podgatunku doskonale wpisują się w mój gust: są efektowne, wysokoenergetyczne, wiążące równocześnie wiele zmysłów. Jakkolwiek pod tym względem wyszedłem z widowśni niezaspokojony, tak przedstawienie Grupy Estradowej SCK okazało się mieć zgoła inne, niespodziewane zalety.

Sama sztuka estradowa będzie wymagała dopracowania. Zamysł ma potencjał, aktorzy wydają się entuzjastyczni i kompetentni w swoich funkcjach, ale do sukcesu brakuje im nade wszystko dobrego wyczucia czasu. Występy są od siebie oddzielone topornie, brakuje ramy która spięłaby je w spójną całość. To sprawia, że kiedy tylko widz chciałby wkłęcić się w dobrą zabawę (której aktorom zdecydowanie nie brakuje!), akurat wtedy zostaje wytrącony z rytmu i musi zaczynać od nowa. Dodając do tego zauważalne, krótkie przerwy między sekcjami, uzyskujemy galimatias zmierzający nierównym tempem ku bliżej nieokreślonemu końcowi. Urwanie spektaklu nieformalnie, po prostu kończąc go na ostatnim występie, nie było dobrym pomysłem i znacznie lepiej wypadłoby uzupełnione jakąś sympatyczną sceną pożegnania.

Wiele wyjaśnia natomiast segment dramatyczny, żeby nie powiedzieć tragiczny, gdzie postacie porzucają rozrywkową konwencję i zamiast bawić, opowiadają swoje prawdziwe historie. Wtedy właśnie aktorzy udowodnili mi wymiar swojego talentu, dając popis prawdziwie ludzkich emocji. Słuchałem ich ze szczerym współczuciem, uroniłem łzę, a całość przedstawienia nabrała dodatkowo korzystnego kontekstu. Fakt, jak bardzo udała się ta część spektaklu, sugeruje też inne spojrzenie na powyższy akapit z krytyką. Może sednem sprawy nie jest wcale problem realizatorski, ale tkwi pod nim drugie dno? Podobnie jak w pokazie estradowym SCK najjaśniejszym punktem była nieoczekiwana i wzruszająca sekcja autobiograficzna, podobnie sama grupa może kryć w sobie samorodek talentu do tragedii – nie byłby to pierwszy przypadek teatralnych hobbystów, niefortunnie mijających się z powołaniem. Widzę w tym nadzieję i życzę powodzenia, zwłaszcza że „Potyczki...” można bez wahania nazwać spektaklem potrzebnym. Twórcy jako zbiorowość otworzyli przed nami swoje dusze, co musiało być dla nich wielkim krokiem, godnym radosnej celebracji dookoła.

Jakub Pisarski

Cierpienia młodego zoomera

Ucieszyłem się od razu, kiedy zobaczyłem na liście zgłoszeń nazwę Teatru Etna. Ta powracająca do Przeglądu trupa dała już się poznać jako twórcy sztuki o innowacyjnej realizacji i błyskotliwych intuicjach scenicznych. Tym razem, zabierając się za kreatywną adaptację „Kartoteki” Tadeusza Różewicza, moim zdaniem przeszli samych siebie. Bohater [Antoni Baran] jest tutaj nie byłym partyzantem, ale przedstawicielem współczesnego młodego pokolenia - chcę wierzyć, że chodzi o Z i wciąż jeszcze się do niego łapię - który eksploruje aktualne problemy w surrealistycznej, kąśliwie komediowej aurze. Aranżacja ta cechuje się społeczną przenikliwością i wrażliwością, życzliwą wobec Bohatera w stopniu, którego ze świecą szukać w wielkoskalowym teatrze.

Profesjonalne jest tutaj niewątpliwie aktorstwo. Każda postać (z głównym Bohaterem na czele) zachowywała się naturalnie w swoim na wpół realnym stanie bytu, a odtwórcy ewidentnie wczuwali się w każdą kwestię. To pozwoliło uzyskać pożądany, senny charakter, który uzupełniła tylko pomysłowa scenografia. Kontynuuje ona najzaciejsze tradycje nowoczesnego teatru: jest wykonana stosunkowo niskim kosztem, wielofunkcyjna i na tyle abstrakcyjna, że aż zaczyna wyglądać ładnie. Zwykle bywam przeciwnikiem takiej oprawy wizualnej, ale tutaj okazała się być urzekająca i perfekcyjnie pasuje do konwencji płynnego „świata wewnętrznego” po jakim się poruszamy. Analogicznie pochwalić mogę chaotyczną, ale atrakcyjną dla oka choreografię, ze szczególnym wyróżnieniem dla występującej w trzech osobach postaci Wujka.

Wiek zespołu i co za tym idzie, współdzielone życiowe doświadczenia, przełożyły się pozytywnie na przekaz. Zarówno główna myśl spektaklu, jak i wiele detali, wyśmienicie oddaje nasz Zeitgeist. Zaspokaja tym potrzebę, co do której zaspokojenia zdążyłem już stracić nadzieję. Spektakl jest zabawny, dający do myślenia i bajecznie oniryczny, co daje mu wszelkie podstawy, aby zwyciężyć w tegorocznym Przeglądzie. Może w tym liczyć na moje szczere błogosławieństwo.

Jakub Pisarski

Psychomachia z pomidorkami w tle

Fabułę spektaklu „Ostatnie kuszenie” stanowi scena romantycznej kolacji przy świecach, gdzie para sterowana jest z za pleców przez sprzeczącą się anioła i demona. Została ona stosownie rozciągnięta w czasie, stale zatrzymywana przez nieziemskie istoty. Podobna anomalia, tyle że odwrócona, nastąpiła w stosunku do widowni. Odkąd pierwszy raz zawiesiłem wzrok na aktorach, akcja popędziła i nie wiedzieć kiedy dobiegła końca. To zasługa energicznej natury spektaklu: reżyseria, dialogi oraz muzyka mają w sobie wiele mocy.

Aktorzy włożyli w jej poskromienie wiele serca, nie zawsze nadążając. Bardzo pozytywnie wyróżniła się Kobieta [Agnieszka Borgoń] za sprawą świetnej gry głosem; nie znaczy to jednak, że reszta zespołu zaważyła sprawę. Wszyscy uczestnicy wykazali się talentem komediowym, wyciskając dużo reakcji z publiczności, której po dziewięciu godzinach spektakli naprawdę niewiele się chciało. Sporo żartów wymaga jeszcze ogrania lub lepszej koordynacji między członkami trupy. Możliwe też, że wydłużenie całości w warunkach poza-festiwalowych pozwoliłoby lepiej wybrzmieć powtarzalnym, wiodącym motywom. Dopracowania potrzebuje też zakończenie, które łapie widzów zniemacka i zostawia niedosyt. To jednak pozostaje po stronie dramaturga bądź reżysera.

Odnoszę wrażenie, że gdyby zebrać w jednej auli wszystkie zespoły tegorocznego Przeglądu, ich wspólny wysiłek mógłby doprowadzić do powstania Spektaklu Ostatecznego. Nie tylko lepszego niż przyszły zwycięzca, ale być może najlepszego w ogóle. Każda grupa wniosłaby do prac jakąś dziedzinę, którą ma opanowaną najlepiej. W przypadku Teatru Wielu Twarzy byłaby to, jak sądzę, choreografia. Opanowane przez aktorów kroki robią wrażenie, mają niebagatelny wydźwięk komediowy i nawet ich chaotyczne zastosowanie okazuje się być pełne uroku.

Podsumowując: „Ostatnie kuszenie” to spektakl rozrywkowy, który zaiste rozrywa. Sumarycznie jest w nim znacznie więcej zalet niż mankamentów, pomysłów udanych niż niewypałów. Nawet na poziomie koncepcyjnym, historia diablity i anioła sterujących ludźmi, aż prosi się o dalszą eksplorację. Tkwi w niej, podobnie jak w całym Teatrze Wielu Twarzy, zauważalny gołym okiem potencjał.

Jakub Pisarski

Making of...

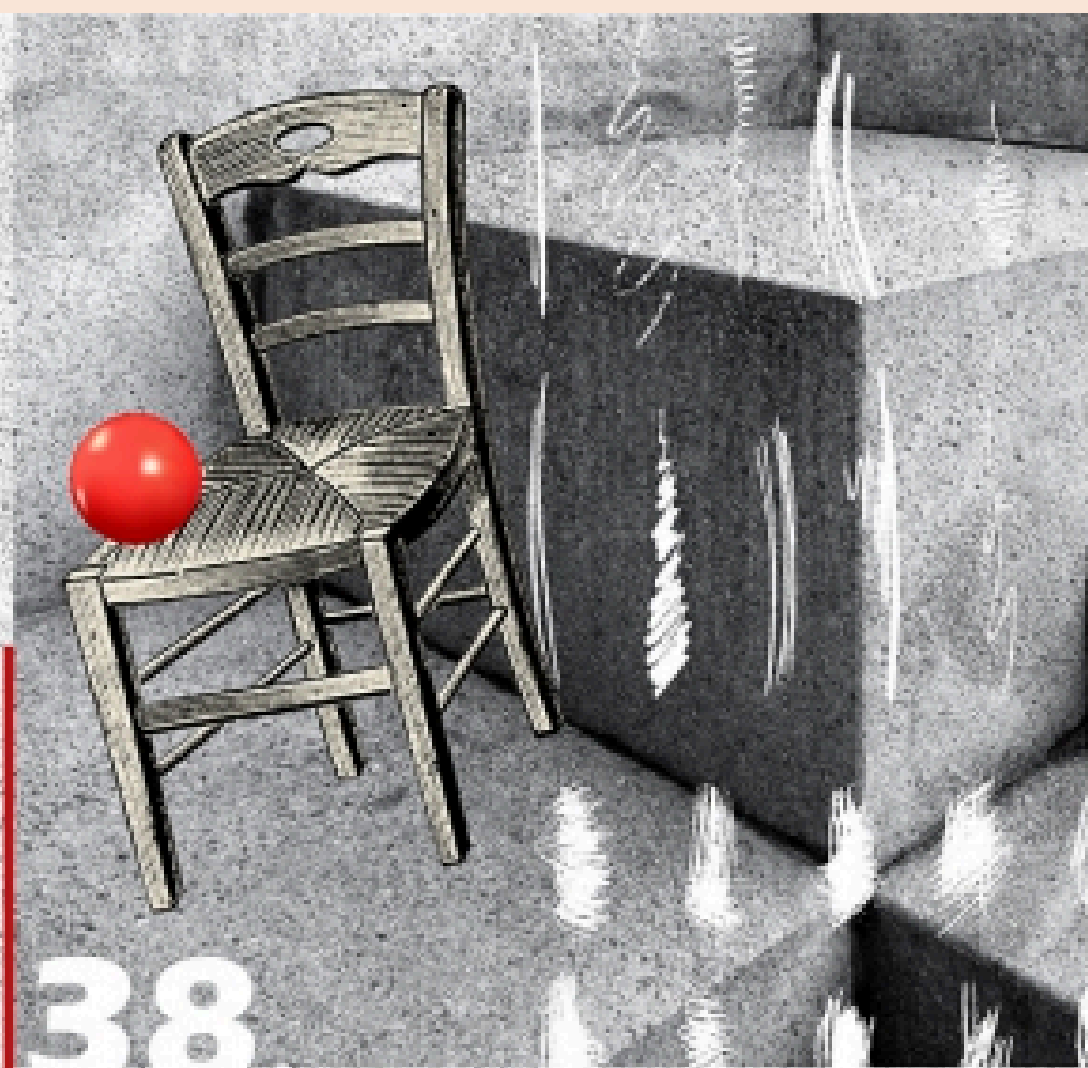
Sztuka kabaretowa przeżywa ostatnimi czasy swoistą zapaść. To jedno, że spadła daleko z poziomu dawnych, bardzo teatralnych w swojej naturze kabaretów. Obecna formuła także się wyczerpała, a nikt jeszcze nie wymyślił nowej, która mogłaby ją zastąpić. Nadzieje na odmianę tego stanu pokładam w światku kabaretów amatorskich, niezasiedziałych w środowisku, takich jak łódzki „Zakon Szyderców”. Od strony organizacyjnej jest to zauważalna próba powrotu do starych, dobrych standardów: kabaretu pełnego piosenek, dotyczącego spraw bardziej życiowych niż absurdalnych, a przy tym oferującego rozmaite barwy humoru. Mamy tu żarty prostackie, ale też te wyższych lotów, całkiem świeże obok takich pokrytych komediancką patyną.

Całość utrzymano w konwencji próby generalnej. Fabuła opowiada o przygotowaniach do wystawienia kabaretu, co pozwala skutecznie wykpić się z dezorganizacji na scenie i kreatywnie wyjaśnić niedoróbki czy lapsusy językowe. Konceptyjnie jest to najzupełniej w porządku, chociaż w realizacji ujawniają się pierwsze problemy. Przerwy między występami są pozbawione skupienia, mają miejsce „ot tak” i często chciałoby się je wypełnić jakąś dodatkową treścią, dać im początek oraz zakończenie. W obecnej formie panuje tam pewien niedowład, który można by było łatwo naprawić jeszcze na etapie planowania spektaklu.

Odzew publiczności był marny. Trudno im się dziwić, zważywszy na godzinę naszego spotkania i poprzedzające je atrakcje. Niezależnie jednak od wypadków losowych (choćbyśmy najzyczliwiej ułożyli zespoły, siłą rzeczy ktoś zawsze wyląduje na końcu listy) widać, że zespół kabaretowy potrzebuje jeszcze trochę praktyki, nim zacznie przywracać branżę na właściwe tory. Humor niezbyt trafia, kiedy brak mu pazura. Chociażby uderzanie w klasę ogólnikowo określonych „polityków” tekstami poniżej pasa (niekiedy dosłownie) całkiem straciło już polor i bardzo trudno podekscytować widownię nowym żartem na ich temat. To zbyt łatwy cel w który bije się właściwie rutynowo, nawet w codziennych rozmowach. Nawiasem mówiąc, chętnie zobaczyłbym na deskach kabaretu odwrotność takiego stereotypowego humoru: żart w obronie funkcjonariuszy państwowych, w podziwie dla intelektu blondynek, życzliwy wobec teściowej. Byłoby to coś prawdziwie świeżego!

Przeciw wagą dla powyższych niedoborów jest oprawa muzyczna. Zespół aktorski ładnie śpiewa, teksty piosenek są pocieszne i budują miłą atmosferę między sceną a widzami. Zresztą również we fragmentach mówionych łatwo poznać, że wszyscy aktorzy mają bardzo przyjemne dla ucha głosy, jakby stworzone do scenicznych popisów. Zdecydowanie nie chciałbym, żeby teraz speszyły się i zamilkły! Mając do dyspozycji tak solidnych aktorów i wygodną niszę w świecie kabaretu, wszystkie wady da się łatwo wygładzić. Wystarczy kilka dodatkowych, mile spędzonych wieczorów przy pracy nad scenariuszem.

Jakub Pisarski



38.

ŁÓDŹ

Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich